

Czesław Kulesza

Polska polityka dorobiła się właśnie kolejnego paradoksu. Monarchista spotyka komunistę, narodowiec rozmawia z socjalistą, przeciwnik Unii Europejskiej z człowiekiem deklarującym obronę praw pracowniczych. Wszyscy wspólnie występują przeciw globalizmowi, wojnie, liberalizmowi i podporządkowaniu Polski zagranicznym interesom. Brakuje właściwie tylko anarchisty domagającego się przywrócenia monarchii absolutnej i liberała żądającego nacjonalizacji banków. A jednak nie jest to kabaret.

Podczas niedawnej I Konferencji Suwerenistów spotkali się przedstawiciele środowisk, które jeszcze niedawno wydawały się politycznie nie do pogodzenia. Byli ludzie odwołujący się do lewicy, byli narodowcy, środowisko Konfederacji Korony Polskiej, Mateusz Piskorski. Słowacki eurodeputowany Ľuboš Blaha mówił o potrzebie współpracy lewicowych i prawicowych patriotów. Pojawił się Grzegorz Braun, który z pewną satysfakcją zauważył możliwość współdziałania komunisty z monarchistą. Historia zna oczywiście bardziej egzotyczne małżeństwa i nie widzę niczego złego w tym, że ludzie o różnych poglądach ze sobą rozmawiają. Powinni rozmawiać. Lewica zamknięta wyłącznie we własnym środowisku szybko zamienia się w kółko wzajemnej adoracji. Problem zaczyna się wtedy, kiedy rozmowę mylimy ze wspólnotą interesów.

Suwerenność, ale czyja?

Słowo „suwerenność” zrobiło w ostatnich latach zawrotną karierę. Sam jestem przywiązany do tradycji polskiej lewicy niepodległościowej, więc trudno mi to słowo lekceważyć. Niepodległość dla PPS nie była przecież ozdobnikiem. Bez własnego państwa trudno prowadzić demokratyczną politykę społeczną, a bez politycznej podmiotowości naród łatwo staje się przedmiotem cudzych interesów. Tyle że dla socjalistów niepodległościowych pytanie o suwerenność nie kończyło się na granicy. Dopiero tam się zaczynało, ponieważ suwerenny miał być również człowiek: robotnik wobec właściciela fabryki, chłop wobec wielkiej własności, obywatel wobec państwa, naród wobec imperium.

Dlatego nie każda polityka występująca pod białą-czerwoną flagą staje się polityką niepodległościową. Można mieć suwerenne państwo, w którym niesuwerenny jest pracownik. Można wyrzucić zagraniczną korporację i zastąpić ją rodzimym oligarchą. Można walczyć z Brukselą, a jednocześnie podporządkować gospodarkę interesom właścicieli kapitału. Można wreszcie uwolnić się spod wpływu Waszyngtonu tylko po to, żeby zacząć szukać protektora — dajmy na to — w Moskwie. Niepodległość polegająca na wyborze mocarstwa, któremu chcemy się podporządkować, jest jednak dość osobliwym rodzajem niepodległości.

Tutaj zaczyna się mój zasadniczy spór z tak zwaną lewicą narodową i z powracającym w niektórych jej środowiskach panslawizmem. Rozumiem krytykę polityki USA, NATO, militaryzacji Europy czy podporządkowywania interesów społecznych logice geopolitycznej konfrontacji. Sam wielokrotnie taką krytykę formułowałem. Ale z krytyki jednego imperium nie wynika obowiązek pokochania wielkomocarstwowości drugiego. Wasal Waszyngtonu nie stanie się człowiekiem wolnym tylko dlatego, że przeniesie swoją lojalność do Moskwy. Ani zresztą do Pekinu. Zmieni się geografia zależności, ale nie jej istota.

Polska tradycja socjalizmu niepodległościowego wiedziała to dobrze. Jej patriotyzm wyrastał z doświadczenia walki przeciw imperiom, a nie z poszukiwania tego imperium, które w danym

momencie wydaje się bardziej sympatyczne albo chwilowo bardziej użyteczne. Dlatego źle czuję się z lewicą, która pod hasłem realizmu geopolitycznego zaczyna odkrywać szczególne powinowactwo ze środowiskami endeckimi, konserwatywnymi czy panslawistycznymi. Nie dlatego, że zakazuję rozmowy. Dlatego, że pamiętam historię.

Europa też szuka nowej osi

Byłoby jednak błędem traktować te poszukiwania jako wyłącznie polską przypadłość. Podobne eksperymenty obserwujemy w innych krajach europejskich i niemal zawsze zaczynają się od efektownego odkrycia, że podział na lewicę i prawicę podobno się skończył. Zastąpić ma go konflikt ludu z elitami, suwerenistów z globalistami, zwolenników pokoju z „partią wojny”. Dla ludzi rozczarowanych bezradnością tradycyjnej lewicy brzmi to kusząco. Samo rozpoznanie konfliktu pomiędzy większością społeczeństwa a uprzywilejowanymi elitami ekonomicznymi nie jest zresztą fałszywe. Problem pojawia się wtedy, kiedy zaczynamy pytać, kogo właściwie zaliczamy do owego „ludu” i co stało się z klasami społecznymi.

Najbardziej znanym przykładem jest niemiecki Sojusz Sahry Wagenknecht. BSW zachował część lewicowej krytyki nierówności, militaryzacji czy obecnego modelu gospodarczego, łącząc ją jednak z coraz bardziej konserwatywnym podejściem do migracji i narodowym językiem politycznym. Jeszcze ważniejsze jest stopniowe podważanie zasady izolowania AfD. To, co niedawno można było uznać za publicystyczną prowokację, w roku 2026 nabrało bardzo praktycznego wymiaru. BSW otwarcie odrzucił logikę „zapory ogniowej” wobec AfD, a po wyborach w Saksonii-Anhalt kwestia współpracy przestała być czysto teoretyczna. Można oczywiście powiedzieć, że chodzi jedynie o głosowanie w konkretnych sprawach i że BSW nadal różni od AfD bardzo wiele. To prawda. Polityczne granice rzadko jednak znikają podczas jednej uroczystej konferencji. Najczęściej przesuwają się po kilka centymetrów.

Jeszcze bardziej wymowny jest przypadek włoski. Marco Rizzo, były europoseł wywodzący się z ruchu komunistycznego, ogłosił właśnie kolejny projekt polityczny — Italia Domani. Jego podstawowa teza brzmi znajomo: konflikt nie powinien już przebiegać pomiędzy prawicą i lewicą, lecz pionowo, pomiędzy „zjednoczonym ludem” a elitą ekonomiczną i finansową. Do owego ludu mają należeć wspólnie robotnicy, klasa średnia, drobni przedsiębiorcy, rolnicy i profesjonaliści. Rizzo wcześniej dopuszczał możliwość sojuszu z Roberto Vannaccim, a nawet radził Sahrze Wagenknecht współpracę z AfD.

I tutaj właśnie warto się zatrzymać. Nie dlatego, że każda próba wyjścia poza skostniałe podziały polityczne musi być podejrzana. Lewica sama ma wystarczająco dużo powodów, żeby krytycznie spojrzeć na własną historię ostatnich dekad. Problem w tym, że hasło o końcu podziału na prawicę i lewicę regularnie okazuje się znacznie mniej niewinne, niż początkowo wygląda. Znika nazwa konfliktu, ale nie znika konflikt. Nadal istnieją właściciele i pracownicy, kapitał i praca, lokatorzy i rentierzy, ludzie utrzymujący się przede wszystkim z własnej pracy i ci, których pozycja wynika z posiadanego majątku.

Możemy oczywiście nazwać to wszystko inaczej. Tylko że pojęcie „elity” jest niezwykle pojemne, podobnie jak „globalista”. Narodowy milioner może bez większego trudu zostać częścią „ludu”, jeśli tylko odpowiednio często mówi o ojczyźnie, suwerenności i tradycyjnych wartościach. Pracujący za niewielkie pieniądze migrant może natomiast zostać uznany za zagrożenie dla tego samego ludu, chociaż jego rzeczywiste położenie wobec kapitału niewiele różni się od sytuacji polskiego, niemieckiego czy włoskiego robotnika.

Można ogłosić koniec walki klas. Nie oznacza to jednak, że klasa posiadająca robi to samo.

Antysystemowi obrońcy systemu

I właśnie dlatego warto nieco uważniej przyrzeć się rzekomej antysystemowości skrajnej prawicy. Braun i jego środowisko bardzo skutecznie przedstawiają się jako buntownicy przeciw establishmentowi. Tyle że kiedy zedrżemy z tej narracji warstwę kulturową, pozostaje znacznie mniej rewolucyjne pytanie o własność. Co właściwie skrajna prawica proponuje pracownikowi w jego konflikcie z kapitałem? Jak wygląda jej stosunek do silniejszych związków zawodowych, koncentracji majątku, budownictwa społecznego czy demokratycznej kontroli nad wielkim kapitałem? Tutaj rewolucyjny temperament dziwnie szybko stygnie.

Skrajna prawica jest antysystemowa przede wszystkim wobec kulturowej dekoracji systemu. Chce zmienić flagi, język, symbole i hierarchię wartości. Znacznie mniej przeszkadza jej struktura własności. Kapitalista może więc spać spokojnie, byle był patriotą. I dlatego sojusz części lewicy ze skrajną prawicą jest czymś więcej niż tylko dziwactwem politycznym. Lewica wnosi do niego krytykę kapitalizmu, prawica dostarcza języka narodu, tożsamości i zagrożenia, a w trakcie mieszania obu składników gdzieś dziwnie często ginie właśnie krytyka własności. Warto w tym miejscu przypomnieć jeszcze jeden obrazek. Grzegorz Braun towarzyszył Januszowi Walusiowi podczas jego powrotu z Republiki Południowej Afryki. Później Braun, Mateusz Piskorski i Waluś pojawili się razem na meczu Legii. Waluś nie jest postacią z akademickiego seminarium o antyglobalizmie. Został skazany za zabójstwo Chrisa Haniego, komunistycznego działacza i jednej z najważniejszych postaci walki z apartheidem.

I tutaj naprawdę trudno mi zrozumieć część ludzi deklarujących się jako lewica. Możemy godzinami dyskutować o NATO, globalizacji, Rosji, Ukrainie i błędach zachodniej lewicy. Możemy spierać się o geopolitykę i odpowiedzialność Zachodu za obecny stan świata. Ale istnieje chyba jakaś granica politycznej elastyczności. Jeżeli wspólny sprzeciw wobec liberalnego centrum prowadzi nas do środowiska, które potrafi znaleźć miejsce dla kultu politycznego zabójcy działacza antyapartheidowskiego, warto na chwilę przerwać debatę o geopolityce i sprawdzić, z kim właściwie siedzimy przy stole.

Lewica wciąż szuka dużego brata

Nie jest to jednak problem wyłącznie tych, którzy wybierają drogę „suwerenistyczną”. Po drugiej stronie pojawia się zjawisko łagodniejsze, ale wyrastające — moim zdaniem — z podobnej frustracji. Część ludzi związanych lub jeszcze niedawno związanych z szeroko rozumianą lewicą szuka przestrzeni dialogu ze środowiskami konserwatywno-liberalnymi. Sam udział w takich debatach oczywiście nie czyni nikogo prawicowcem i nie powinien być powodem do stawiania kogokolwiek pod politycznym pręgierzem. Interesujące jest jednak zestawienie tych zjawisk.

Jedni patrzą w stronę narodowego suwerenizmu, drudzy szukają przestrzeni rozmowy na konserwatywnej prawicy, jeszcze inni budują swoją tożsamość niemal wyłącznie na symetryzmie wobec dwóch głównych obozów. Wspólnym mianownikiem może być głęboka frustracja i coraz mniejsza wiara w możliwość samodzielnej polityki lewicowej. Jakbyśmy nieustannie potrzebowali kogoś większego, kto udostępni nam kawałek swojej sceny: raz narodowca, innym razem konserwatysty, liberała albo geopolitycznego realisty.

I chyba właśnie tę frustrację trzeba potraktować poważniej niż najbardziej egzotyczne konferencje. Nie wzięła się przecież znikąd. Lewica przez lata ponosiła porażki, traciła społeczne zaplecze, pozwalała liberalnemu centrum przejmować swój język obyczajowy, sama często rezygnując z języka klasowego. Kiedy własny projekt polityczny słabnie, cudzy radykalizm zaczyna wyglądać atrakcyjnie. Prawica mówi przynajmniej głośno, wskazuje

przeciwnika, obiecuje zerwanie z dotychczasowym porządkiem. Tyle że frustracja jest dobrym paliwem buntu, ale fatalnym doradcą przy wyborze sojuszników.

A gdzie podział się konflikt klasowy?

Najbardziej uderzające w tych wszystkich nowych konfiguracjach jest coś jeszcze. Im więcej mówi się o globalizmie, suwerenności, cywilizacji, narodzie, geopolityce i tożsamości, tym łatwiej znika podstawowy konflikt, od którego lewica zaczynała swoją analizę społeczeństwa. Pracownik głosujący na Brauna i pracownik głosujący na partię liberalną następnego dnia nadal idą do pracy. Sprzedają swój czas, płacą czynsz albo ratę kredytu, czekają w kolejce do lekarza i płacą podatki znacznie trudniejsze do uniknięcia niż podatki wielkiego kapitału.

Narodowy przedsiębiorca i globalistyczna korporacja mogą różnić się flagą wiszącą nad recepcją. Pracownik bardzo szybko przekona się jednak, czy różnią się stosunkiem do jego wynagrodzenia i praw pracowniczych. Dlatego sojusz ekstremów jest dla lewicy ślepą uliczką nie z powodu nadmiaru radykalizmu, lecz dlatego, że radykalizm zostaje skierowany w niewłaściwą stronę. Lewica bez radykalizmu staje się administracją cudzych interesów, ale radykalizm, który zamiast stosunków własności atakuje migranta, uchodźcę, homoseksualistę, Brukselę albo bliżej nieokreślonego „globalistę”, pozostawia właściciela przedsiębiorstwa w zadziwiająco komfortowej sytuacji. Konflikt klasowy zostaje przepisany na konflikt kulturowy i narodowy. Nie jest to obalenie systemu. To jedna z najstarszych metod jego ratowania.

Wybić się na samodzielność

Może więc największym problemem polskiej lewicy nie jest dziś brak potencjalnych sojuszników, lecz brak wiary, że może istnieć bez nich. Jedni chcieliby budować patriotyczny front z narodowcami, inni szukają punktów wspólnych z konserwatystami, jeszcze inni chcą być lewicowym skrzydłem liberalnego centrum. Za każdym razem pojawia się rozsądne uzasadnienie: trzeba rozmawiać, poszerzać wpływy, wychodzić poza własną bańkę. Oczywiście, że trzeba. Ale rozmowa nie oznacza sojuszu, a sojusz nie może oznaczać rezygnacji z własnego punktu widzenia.

Lewica nie potrzebuje narodowców, żeby być patriotyczna, liberałów, żeby być demokratyczna, ani konserwatystów, żeby rozumieć znaczenie wspólnoty. Tym bardziej nie musi ogłaszać końca lewicy i prawicy tylko dlatego, że sama przeżywa kryzys. Podział polityczny można nazwać przestarzałym, ale nie znikną przez to sprzeczne interesy społeczne, które kiedyś go stworzyły.

Potrzeba czegoś znacznie trudniejszego: wybicia się na samodzielność. A może — skoro słowo zrobiło ostatnio tak oszałamiającą karierę — wybicia się na suwerenność. Suwerenność własnej myśli, programu i języka, własnego stosunku do niepodległości, pokoju, pracy i własności. Niepodległościowej lewicy szczególnie źle byłoby przecież przyznać, że nie potrafi być niepodległa politycznie.

Nie oznacza to zamknięcia się we własnym świecie. Można rozmawiać z konserwatystą o wspólnocie, z liberałem o prawach obywatelskich, z narodowcem o niepodległości, a nawet z monarchistą zagłosować przeciwko wojnie. Tylko po zakończeniu rozmowy trzeba nadal wiedzieć, kim się jest i czyj interes chce się reprezentować.

Monarchista z komunistą mogą więc oczywiście wspólnie zagłosować w Parlamencie Europejskim. Historia zna dziwniejsze rzeczy. Zanim jednak zaczniemy budować z tego nową teorię polityczną, warto sprawdzić, czy po głosowaniu monarchista nadal chce mieć króla, komunistą nadal chce znieść kapitalizm, a robotnik nadal musi rano wstać do pracy.

Podejrzewam, że przynajmniej w ostatniej sprawie system pozostanie zadziwiająco stabilny.

Czesław Kulesza